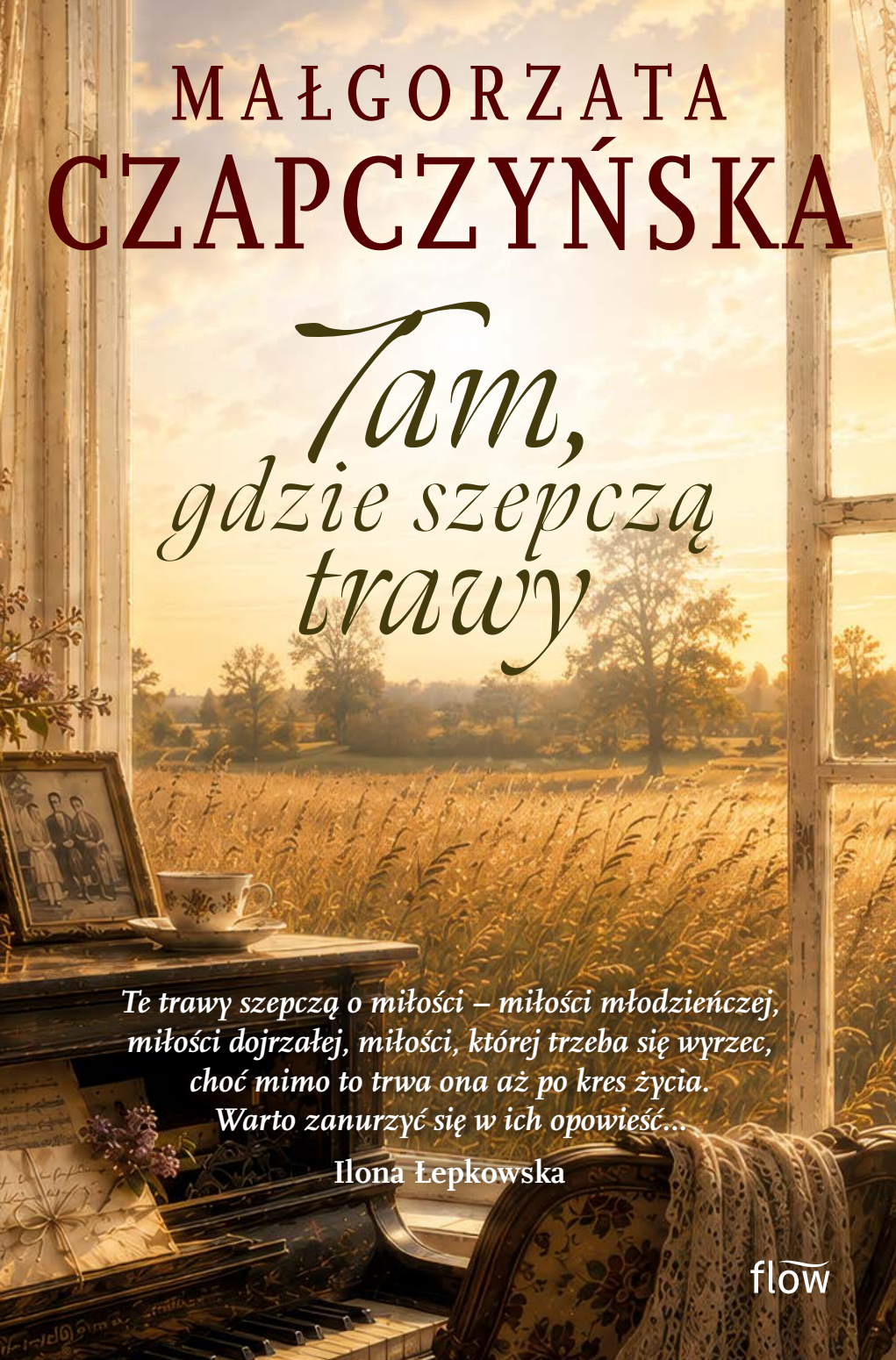

MAŁGORZATA
CZAPCZYŃSKA
Tam, gdzie szepczą trawy
Te trawy szepczą o miłości – miłości młodzieńczej, miłości dojrzałej, miłości, której trzeba się wyrzec, choć mimo to trwa ona aż po kres życia. Warto zanurzyć się w ich opowieść...
Ilona Łepkowska
flow

Tam, gdzie szepczą trawy

MAŁGORZATA
CZAPCZYŃSKA

Tam, gdzie szepczą trawy



flow

Projekt okładki:
Andrzej Lademann z wykorzystaniem narzędzi AI

Ilustracje w książce i na okładce:
522748792, 1273629380, 617467985, 614862946, 575172669 / AdobeStock

Redakcja:
Karolina Tuszyńska

Redakcja techniczna oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Skład:
Joanna Więcławska

Korekta:
Anna Żochowska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Małgorzata Czapczyńska
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-253-6 (wersja z barwionymi brzegami)
ISBN 978-83-8364-227-7

Druk i oprawa:
Zapolex Sp. z o.o.

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl

Pamięci moich Dziadków, Kresowiaków.
Moim ukochanym Rodzicom, Franciszkowi i Kazimierze.
Moim Siostrom, Marietcie i Beacie.
Moim Dzieciom, Alicji i Wojtkowi.
I moim Wnukom.

Z miłością.



OD AUTORKI

Historia opowiedziana przeze mnie w tej książce jest literacką fikcją. Jednak wiele jej wątków wyrosło z prawdziwych historii – rodzinnych wspomnień, wydarzeń historycznych oraz doświadczeń, które stały się również częścią mojego życia. To, co autentyczne, splata się tutaj z wyobraźnią. Mam nadzieję, że dzięki temu udało mi się opowiedzieć historię, która, choć fikcyjna, niesie w sobie prawdę o ludziach, ich wyborach, miłości, cierpieniu i pamięci. Dodam też, że bohaterowie tej powieści są postaciami fikcyjnymi, choć niektórzy z nich noszą w sobie cechy i doświadczenia ludzi, których spotkałam, poznałam lub o których usłyszałam. Wszelkie podobieństwa do konkretnych osób, niewynikające z tych świadomych inspiracji oraz historycznego tła opowieści, są przypadkowe.





PROLOG

Lędzina, marzec 1946 r.

Wczesny marcowy wieczór był przenikliwie zimny i wilgotny. Od strony pól niósł się zapach mokrej ziemi, zgniłych liści i stojącej w rowach wody po roztopach. Żwirowa droga prowadząca z Bukowic do Lędziny była rozmiękła i pełna głębokich kolein. Dwóch rosyjskich żołnierzy szło nią chwiejnym krokiem od dobrych trzydziestu minut. Jeden co chwilę poprawiał zsuwającą się z ramienia pepeszę, drugi niósł w dłoni prawie pustą butelkę wódki. Pili z niej na zmianę. Alkohol rozgrzewał gardła i wnętrzności, ale nie odpędzał wilgotnego chłodu, wciskającego się pod mundury. Niższy potknął się nagle o wyrwę w drodze i omal nie runął w błoto.

– *Bliad'... cziort!* – syknął wściekle. Drugi roześmiał się ochryple i poklepał towarzysza po ramieniu. Szli dalej. Nad ich głowami wisiały ciężkie, ciemne chmury, spod których co jakiś czas wyłaniał się blady księżyc. Marcowy wiatr poruszał nagimi gałęziami wierzb rosnących przy drodze.

W oddali zamajaczyły kontury zabudowań. Kiedy dotarli do pierwszych domów Lędziny, wieś była już prawie całkiem uśpiona. Tylko w pojedynczych oknach paliły się jeszcze blade światła świec lub lamp naftowych. Żołnierze skręcili w stronę stawów, na drogę, wzdłuż której znajdowało się kilka domów. Nagle jeden z nich zatrzymał się i skinął głową na dom stojący w głębi podwórza. W oknie drgało słabe, żółtawe światło. Za cienką firanką poruszała się kobieca sylwetka. Mężczyźni podkradli się bliżej. W środku młoda kobieta siedziała przy stole w białej nocnej koszuli i karmiła dziecko. Czarne włosy opadały jej na ramiona, kiedy pochylała się nad niemowlęciem. Po chwili wstała ostrożnie i odłożyła dziecko do kołyski stojącej pod ścianą. Na moment zniknęła za drzwiami. Wróciła z glinianym dzbankiem. Nalała wodę do dużej blaszanej miski, stojącej na taborecie pod ścianą, potem obmyła twarz i kark. Żołnierze obserwowali ją w milczeniu. Niższy uśmiechnął się powoli i szturchnął porozumiewawczo kompana. – *Smotri... kakaja krasawica* – mruknął pod nosem. Kobieta podniosła miskę i ruszyła do drzwi. Nie wiedziała jeszcze, że ktoś stoi tuż pod oknem. Furtka skrzypnęła bardzo cicho. Na podwórzu było ciemno i zimno. Kiedy schodziła po kilku schodkach na podwórze, aby wylać wodę w rosnące obok krzaki, wiatr poruszył cienkim materiałem jej nocnej koszuli. Była już z powrotem przy drzwiach, gdy nagle usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się gwałtownie. Zobaczyła ich może sekundę wcześniej, zanim ją obaj dopadli. Miska wypadła jej z rąk i z głuchym trzaskiem odbiła od kamiennego podestu. Kobieta próbowała cofnąć się do środka, ale nie zdążyła. Jeden z żołnierzy objął ją w pół i mocno zacisnął

dłoń na jej ustach. Popychając ją, wtargnął do domu. Drugi wszedł za nimi i zamknął drzwi. Szamotająca się kobieta, której usta wciąż były zamknięte w śmierdzącej wódką, spoconej męskiej dłoni, z przerażeniem spojrzała w stronę kołyski stojącej pod ścianą. Wtedy zaczęła się modlić. Nie o siebie, nie o własne życie, tylko o to, żeby nic nie zrobili jej dzieciom.



CZĘŚĆ I

„Pianino”







Rozdział I

Bukowice, maj 2012 r.

Siwy staruszek w szarej szpitalnej koszuli i pasiastych spodniach przeszedł obok Róży, ciężko powłócząc nogami. Przyglądała się jego chudym, zgarbionym plecom i pomarszczonej dłoni, zaciśniętej na stojaku z kroplówką. Wyglądał tak samo żałośnie i smutno, jak natrętne myśli, które od wielu godzin kłębiły się w jej głowie.

– Panie Grajewski, proszę natychmiast wracać na salę. Obchód się zaczął – młoda pielęgniarka w błękitnym uniformie szybkim krokiem podeszła do mężczyzny i delikatnie biorąc go pod ramię, pociągnęła za sobą.

– No już, już. Idziemy – ponagliła łagodnie, gdy ten niezdarnie próbował protestować. Róża obserwowała oboje do momentu aż zniknęli w jednej z sal. Potem westchnęła ciężko i potarła dłońmi zmęczone brakiem snu oczy. Jej organizm wściekle domagał się kawy, ale nie miała siły, by wstać i iść do oddalonego o kilkanaście metrów automatu. W głowie wciąż przewijały się obrazy minionej

nocy – poszarpane, jakby zanurzone we mgle, a jednak tak ostre, że aż bolało od nich serce. Inny mężczyzna w podeszłym wieku, którego poprzedniego dnia, przed południem, przywieziono karetką i położono na łóżku w sali, gdzie leżał Franciszek, cierpiał przez całą noc tak dotkliwie, że każde jego westchnienie nienaturalnie głośno rozbrzmiewało w ciszy sali. Kilka razy wciskał przycisk przy łóżku, wołając o pomoc. Pielęgniarka przychodziła, poprawiała mu poduszki, coś regulowała przy kroplówce, a on błagał o ulżenie w bólu. W jego głosie było wszystko – determinacja, ale i rezygnacja oraz ta ledwo uchwytna, rozpaczliwa nadzieja, którą mają w sobie tylko ludzie wiedzący, że nadchodzi kres.

O świcie ucichł. Najpierw tak, jakby po prostu zasnął – jego oddech stał się płytszy, coraz rzadszy, aż wreszcie zupełnie zniknął. A potem... potem przyszła nieludzka, niewzruszona cisza. Róża od razu wiedziała, że to koniec. Wtedy zjawił się młody lekarz, jeszcze z zaspaną twarzą, którą ostre światło szpitalnej lampy czyniło bladą jak papier. Podszedł do łóżka, sprawdził oddech, tętno i reakcję źrenic, po czym cicho stwierdził zgon. Nie było już słów, które mogłyby nadać tej śmierci jakikolwiek sens. Skinął tylko głową i wyszedł. Pielęgniarka ostrożnie wyjęła z dłoni mężczyzny wenflon. Wtedy salowa rozstawiła parawan i usłyszeć można było dźwięki sprawnie prowadzonej toalety pośmiertnej.

Po chwili białe płótno zaszumiało w powietrzu i opadło na nieruchome ciało, Róża poczuła, że coś w niej pęka. „Dziadziuś", tak zaczęła go nazywać w myślach, choć poznała go zaledwie poprzedniego dnia. Wysoki, krzepki

jak na swój wiek, z twarzą pooraną zmarszczkami, które układały się w mapę dobrego, pracowitego życia. Miał na imię Walery, a w szpitalu wylądował po upadku w łazience, co opowiedział jej wieczorem, uśmiechając się przy tym tak serdecznie, jakby mówił o czymś zabawnym, a nie o bolesnym wypadku, który sprawił, że trafił do szpitala. „Sąsiadka mówi: Przyjdź, Walery, to ci narwę nowalijek z ogródka. A że sąsiadka przystojna, elegancka, no to sobie myślę, jak do takiej wizyty, to musowo czysty i pachnący być muszę. No to wlazłem pod prysznic..." – mówił, odsłaniając nierówne, pożółkłe zęby w szerokim uśmiechu, choć oczy miał pełne bólu. Upadł niefortunnie, poślizgnął się, uderzył plecami w kant brodzika. Rana była głęboka, bardzo bolesna. Róża próbowała go pocieszyć, głaskała po dłoni, mówiła, że lekarze mu pomogą. Sama chciała w to wierzyć.

Kilka godzin później do sali wpadł jego wnuk, młody mężczyzna, który miał może dwadzieścia parę lat. Usiadł przy łóżku i przez długi czas trzymał dziadka za rękę. Podawał mu wodę, poprawiał poduszkę, błagał, by zjadł choć kilka łyżek szpitalnej zupy. – Nie martw się, dziadku. Porobią ci badania, podleczą i wypuszczą do domu – mówił ze łzami w oczach, głaszcząc mężczyznę po siwej głowie. A ten kiwał głową, próbując się uśmiechać i wciąż cicho pojękiwał z bólu. W tamtym momencie Róża pomyślała, że tych dwóch mężczyzn – starego, który pełnię życia dawno miał już za sobą i młodego, który jeszcze nie wiedział, jak jego życie się potoczy – musiała wiązać bardzo silna więź. Potem przyszła matka chłopaka, córka Walerego. Zaczęła płakać, zanosić się łkaniem, ale syn

szybko ujął ją za ramiona i trochę zirytowany uspokajał: – Mamo, przestań, proszę. Przecież dziadek żyje. Nic mu nie będzie. Te słowa wracały do Róży wciąż i wciąż, gdy nad ranem z łóżka obok Franciszka dawało się wyczuć jedynie chłód i pustkę. Poczuła wtedy nagły skurcz w klatce piersiowej, jakby zabrakło jej powietrza. Podniosła się z krzesła i nachyliła nad mężem. Franciszek patrzył w sufit szeroko otwartymi oczami. Wiedział. Oboje wiedzieli.

– I co... umarło się dziadkowi – wyszeptał, tak cicho, że ledwie mogła to usłyszeć.

– Franiu... – gładziła go po głowie drżącą dłonią. – Nie myśl o tym. Tobie nic... Wszystko będzie dobrze, słyszysz? Będzie dobrze... – próbowała opanować drżące usta. Franciszek w milczeniu patrzył w sufit i czuła, że to go uspokaja. Wiedziała, że gdyby mógł, gdyby tylko miał sprawne ręce, też odpowiedziałby jej równie czułym gestem. Ale nie mógł. Leżał kompletnie bezbronny i nieruchomy, a gdy po dłuższej chwili z niemałym trudem odwrócił głowę w jej stronę, z jego oczu i twarzy biła tak przemożna chęć życia, że aż zadrżała.

Teraz, gdy na korytarzu czekała, aż lekarze zakończą obchód, z zamyślenia wyrwał ją odgłos stukających o ceramiczne płytki obcasów. Spojrzała w stronę wejścia na oddział, skąd dobiegał ten dźwięk i z ulgą rozpoznała sylwetkę swojej córki. Wysoka, szczupła, energiczna, z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon, wyglądała na jakieś trzydzieści kilka lat, choć w rzeczywistości miesiąc wcześniej skończyła czterdzieści cztery. W chodzie i zachowaniu przypominała ojca, ale szare oczy i rysy twarzy z charakterystycznym dołkiem w brodzie, odziedziczyła po Róży.

– Mamo, i jak? Jak się masz? Jak z tatą? – Miśka ostatnie metry dzielące ją od Róży pokonała szybszym krokiem i ciężko klapnęła na krzesło obok, rzucając niedbale na podłogę dużą torebkę. Mdlące od zapachu lekarstw i środków czystości szpitalne powietrze wypełniło się rześkim, lekko jaśminowym zapachem jej perfum. To było jak nagły dopływ czystego tlenu. Róża głęboko odetchnęła.

– Lepiej... chyba lepiej, dziecko. Znów mu krew przetaczali. Teraz jest obchód, jak się skończy, lekarka da znać, czy możemy zabrać tatę do domu.

– Krew? Znowu? To już trzeci raz, mamuś.

Miśka pokręciła się na krześle tak gwałtownie, że Róża poczuła na ramieniu i twarzy lekkie uderzenie jej ciemnych, związanych w gruby koński ogon włosów.

– Znów przez kilka dni będzie poprawa, a potem...

– I dobrze! – przerwała córce z lekkim zniecierpliwieniem w głosie.

– Niech będzie choć przez kilka dni lepiej, przez kilka godzin niech czuje się lepiej... choćby przez godzinę niech wygląda i czuje się lepiej... choćby przez pół godziny, zanim... – schowała nagle twarz w dłoniach, nie mogąc zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami.

– Mamuś, już dobrze, przestań.

Miśka objęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

– Nie płacz, damy radę. Tata też da, zobaczysz. On nie z tych, co się łatwo poddają. Będzie walczył. Musi. W końcu za dwa tygodnie rusza Euro i musimy wszyscy razem, tak jak chciał, obejrzeć mecz otwarcia...

Głos na kilka sekund lekko uwiązł Miśce w gardle, ale szybko przełknęła powietrze.

– Wilk dał mi urlop do końca tygodnia. Dobre i tyle, a potem zobaczymy. Wypisał mi też recepty na pampersy, maści na odleżyny i wszystko inne, o co poprosiłam. To naprawdę dobry lekarz jest, ma tyle empatii...

Róża uśmiechnęła się blado i pokiwała głową. Doktor Mieczysław Wilk prowadził w Bukowicach przychodnię, w której Michalina od wielu lat pracowała jako pielęgniarka. Był internistą i odkąd stan Franciszka z dnia na dzień się pogorszał, zawsze mogły liczyć na jego pomoc.

– Ach! Zupełnie zapomniałam! Mam dla ciebie kanapki i coś słodkiego – sięgnęła po leżącą na podłodze torbę i zaczęła z niej wyjmować i rozwijać papierowe pakuneczki.

– Proszę kochana. Tu masz z szyneczką i pomidorkiem, a tu z serem kozim, twoim ulubionym. Którą chcesz najpierw?

Róża wyprostowała się, wytarła dłońmi kąciki oczu. Westchnęła. Nie czuła głodu, ale nie chciała sprawiać przykrości córce, która rozwijała kanapki z takim namaszczeniem, jakby były zrobione z najdroższego chleba na świecie.

– Obojętnie, dziecko, może być z serem. – Sięgnęła wolno po równiutko złożoną kanapkę i ugryzła mały kęs.

– Napiłabym się kawy. – Spojrzała teraz na Michalinę z prośbą w oczach.

– Jasne. Zaraz przyniosę. – Miśka wyszperała z torebki portfel i ruszyła długim korytarzem w stronę automatu. W tym momencie drzwi sali się otworzyły i na korytarz wyszli ubrani w białe fartuchy ordynator, jej znajoma lekarka i dwie pielęgniarki.

– I jak będzie, pani doktor? – zapytała cicho, gdy grupa mijała ją, udając się do sali obok. Lekarka się uśmiechnęła i pokiwała głową.

– Będzie pani mogła dziś zabrać męża do domu – powiedziała, lekko ściskając ramię Róży.

– A jak on...?

– Teraz nie mogę rozmawiać, mamy obchód. Proszę iść do męża. Przyjdę do was potem – lekarka jeszcze raz ścisnęła ramię Róży i zniknęła z resztą zespołu w kolejnej sali.

– Mamo, i co?

Michalina stanęła obok niej z plastikowym kubkiem w dłoni.

– Dobrze dziecko, zabieramy dziś tatę do domu. Chodź, idziemy do niego.

Gdy weszły do sali, Franciszek już nie był tak trupio blady, jak jeszcze dwa dni temu, gdy Róża przyjechała z nim karetką na izbę przyjęć. Teraz twarz jej męża była zaróżowiona i ożywiona. Uśmiechnął się, gdy je zobaczył. Najpierw niepewnie, blado, a potem całym sobą, jak to miał w zwyczaju. Róża odpowiedziała mu takim samym uśmiechem, podeszła do łóżka i wzięła rękę Franciszka w obie dłonie, ale nie mogła nic powiedzieć, bo z emocji głos nagle uwiązł jej w gardle. Wyręczyła ją Miśka, która stanęła po drugiej stronie, i widząc ojca w dużo lepszym stanie, też walczyła z silnym wzruszeniem.

– Tatko, i jak się czujesz?

– Jak nowo narodzony – odpowiedział powoli, nie przestając się uśmiechać, czym kompletnie obie rozbroił.

– Jedziesz do domu, tylko na wypis trzeba poczekać – Miśka głaskała ojca po siwych krótkich włosach. Po policzku, ciekła jej łza, którą ukradkiem otarła.

– Zrobię ci pyszny obiad, powiedz tylko, na co masz ochotę?

– Drożdżówki bym zjadł, Misia, takiej z dżemem i kruszonką. I mleka do tego... Franciszek znów uśmiechał się szeroko i Róża poczuła nagle jakąś kompletnie irracjonalną nadzieję, że wszystko już będzie dobrze, normalnie. Że wrócą do domu, do swojej dawnej codzienności i znów co rano będą go z Michaliną ubierać, a zięć pomoże im usadzić go w fotelu ze specjalną przeciwodleżynową poduszką. Po śniadaniu będą rozgrywać swoją ulubioną partyjkę szachów i Franciszek, mimo trudności w poruszaniu ręką, jak zawsze będzie protestował, gdy ona zechce przesuwać pionki za niego. Potem ona w kuchni będzie przygotowywać obiad, a on będzie ją instruował: „Tylko ciut soli, Różyku, i wystarczy", „A śmietanę to na sam koniec, jak już zestawisz z gazu, bo się zwarzy". Naprawdę uwierzyła, że będzie tak, jak przed tym strasznym atakiem, od którego wszystko się zaczęło.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się lekarka i wywołała Różę gestem ręki.

– Mąż naprawdę wygląda i czuje się dobrze. Dziękuję, pani doktor – powiedziała, gdy wyszły z sali i stanęły na korytarzu.

– Niestety, nie mogę zagwarantować, że stan męża znów się nie pogorszy. Stwardnienie rozsiane to podstępna choroba. – Lekarka spojrzała uważnie na Różę.

– I dobrze pani wie, co mam na myśli. – Dokończyła, znacząco kiwając głową. Róża odpowiedziała tym samym gestem i przez chwilę obie milczały.

– Pani doktor, pani wie, że obecny stan męża to... no, to przez odleżyny, a właściwie jedną, nową... Pojawiła się tak nagle na kości ogonowej... Gdyby na czas lekarz ją oczyścił,

wtedy, miesiąc temu, może nie byłoby aż tak źle... Może nie doszłoby do zakażenia krwi i...

– Pani Różo – lekarka przerwała jej stanowczym głosem – pan Franciszek już tak długo jest unieruchomiony przez chorobę, że jego skóra jest cieniutka jak pergamin. Odleżyny pojawiają się jedna po drugiej, nie wiadomo, kiedy i skąd. I tak już będzie. Proszę to zrozumieć.

– Pani doktor, nikt nie rozumie tego lepiej ode mnie. W końcu opiekuję się mężem od tylu lat, ale... – Róża jednak zamilkła, czując, że ta rozmowa nie ma sensu. Tak, wciąż miała ogromny żal do ordynatora oddziału wewnętrznego, który nie przejął się za bardzo stanem Franciszka, gdy pierwszy raz trafili do szpitala i po krótkim rozeznaniu, odesłał ich do domu. Jednak miła lekarka, która przy kolejnym pobycie bardzo dobrze zaopiekowała się jej mężem, nie miała z tamtym wydarzeniem nic wspólnego.

– Pani Różo. – Lekarka udała, że nie widzi jej konsternacji. – Teraz jest jedenasta. Za jakieś dwie godziny będzie gotowy wypis, dam pani zalecenia i receptę oraz wypiszę zlecenie na karetkę, dobrze?

– Dobrze.

– Proszę pamiętać, mąż potrzebuje diety bogatej w żelazo. Dużo zielonej pietruszki, wątróbki, jaj i grochu.

– Dobrze, dobrze. Dziękuję jeszcze raz, pani doktor, jestem naprawdę bardzo wdzięczna – Róża uśmiechnęła się i uścisnęła rękę lekarki.

– Nie ma za co, pani Różo. Dużo zdrowia życzę. – Lekarka pogłaskała ją po ramieniu.

– Mamo, chodź! – Michalina wyszła z sali z uśmiechem na twarzy – Tata cię woła. Ja muszę zadzwonić. Zaraz wrócę.

Róża wróciła na salę i podeszła do męża, który na jej widok znów szeroko się uśmiechał.

– Rozmawiałam z lekarką. Dała mi instrukcje co do twojej diety. Musimy zrobić spore zakupy i...

– Różyku... – przerwał jej nagle.

– Tak, Franiu?

– A bez już kwitnie?

– Tak. Pięknie kwitnie.

– Jak wrócimy do domu, narwiesz bzu w naszym ogrodzie?

Popatrzyła z czułością na jego lekko zaróżowione na tle bladej twarzy policzki i wciąż, tak samo jak dawniej, niebieskie oczy.

– Oczywiście, kochany. Urwę dla ciebie bzu, jak tylko przyjedziemy do domu.

Pokiwał głową, cicho westchnął i nagle w jednej chwili spoważniał. W jego szeroko otwartych i wyraźnie teraz zwilgotniałych oczach dostrzegła jakiś rodzaj tęsknoty czy żalu.

– Franiu...? – zapytała cicho, ale nie odpowiedział od razu. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jakiś niewidzialny punkt nad jej głową, po czym powoli przechylił głowę i spojrzał na nią. – Róża... – wyszeptał, a ona pochyliła się natychmiast, czując, jak ściska ją w środku ten znany, stary lęk, że zaraz znów odpłynie.

– Jestem, Franiu.

Przez chwilę milczał, oddychał ciężko, urywanie, a potem powiedział cicho, z trudem, jakby każde kolejne słowo było trudniejsze od poprzedniego.

– Pamiętasz... to pianino... w pokoju stołowym u Leonii? Tamten list... Zamarła. Oczywiście, że pamiętała. Spojrzał

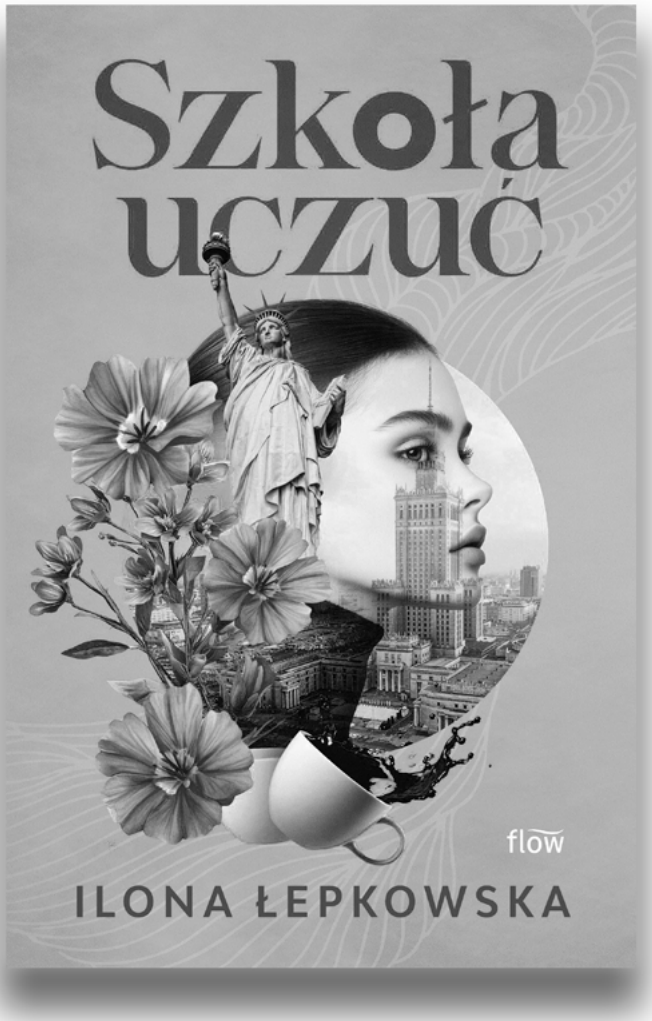
na nią uważnie, jakby chciał się upewnić, że zapamięta dokładnie jego słowa.

– Nie wiesz wszystkiego, Różyku... był jeszcze jeden list. Nigdy ci o nim nie mówiłem... Zamknął oczy, a aparat tlenowy przy łóżku znów zasyczał cicho, miarowo.

Róża siedziała bez ruchu, wciąż trzymając jego dłoń. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. „Jeszcze jeden list" – te słowa brzmiały w jej głowie uparcie i obco. Poczuła, jak coś zakurzonego, dawno odłożonego na bok, zaczyna w niej odżywać. I wtedy wróciło tamto lato. Śmiech Majki. Skrzypienie schodów w domu ciotki Leonii. Zapach lawendy i pierwsze spojrzenie niebieskich oczu Franciszka.



Nasze książki kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl
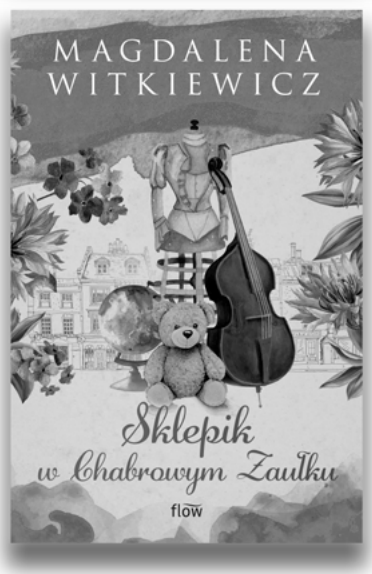


Nasze książki kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl









flow

wydawnictwoflow.pl

A JEŚLI PO LATACH OKAŻE SIĘ, ŻE O NAJBLIŻSZYCH NIE WIEDZIELIŚMY WSZYSTKIEGO?

Róża i Franciszek spędzili razem niemal pół wieku. Gdy życie Franciszka dobiega końca, Róża wraca pamięcią do lata 1966 roku, kiedy pośród pól, stawów i wysokich traw po raz pierwszy się zakochała. W starym pianinie odnalazła również list skrywający rodzinną tajemnicę.

Za słowami listu kryje się historia miłości zrodzonej na Wołyniu, naznaczonej przez wojnę, utratę domu i obietnicę, której konsekwencje przez dziesięciolecia odczuwała cała rodzina. To opowieść o poświęceniu i odwadze, trudnych decyzjach i poczuciu winy. O milczeniu, które trwało zbyt długo.

Tam, gdzie szepczą trawy to pierwszy tom rodzinnej sagi o miłości, która nie przemija, utraconym domu i sekretach ukrywanych przez najbliższych. O ludziach, którzy próbują ułożyć swoje życie na nowo, choć przeszłości nie da się po prostu zostawić za sobą.

Patronat medialny:

Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka!

flow

W sprzedaży także:

ebook audiobook

ISBN 978-83-8364-227-7

Cena 49,90 zł